



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÖCKSBURG.

EXPEDYTOR GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCE

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Dr. Benedykt Dybowski

PRZYRODNIK I PODRÓŻNIK.

W górnych częściach wodobioru Amuru, niosącego swe wody do oceanu Spokojnego, leży kraj Daurów. Daurowie oddawna wyginęli lub zleli się z pokrewnymi mongolskimi szczepami, nazwa jednak pozostała służy, nie szczepowi, ale ziemi. Dość obszerny kraik, ościeniony Mandżurii, do dziś mieni się Daurją. Łańcuch gór Jabłonowych odziela z Zachodu Daurją od reszty świata. Ziemia owa, do chwili obecnej dziewicza, okryta bezbrzeżnymi puszciami, przecięta siecią dolin, zroszona mnóstwem wartkich, górskich strumieni. Najbardziej to cichy zakątek, niedość Azji, lecz i globu.

Wśród jednej z ustronnych dolin Daurkiej ziemi zamieszkał, w ostatnich dniach 1865 r., ziomek nasz, Dr Med. Benedykt Nałęcz Dybowski ¹⁾. Dolina ta nosi nazwę Darasuń, od imienia strumienia, który ją przebiega.

O jej istnieniu bliższy świat mało co wiedział wówczas—dalszy nie zupełnie. Teraz świat przyrodniczy z brzmieniem rzecznej nazwy dokładnie już jest obe-



Dr Benedykt Dybowski.

znany: rozślawił ją swemi przyrodniczymi eksploracyami Dr Benedykt Nałęcz Dybowski, któremu poświęcamy tu kilka myśli wspomnienia. Od chwili, gdy stanął on w r. 1865, wśród swej ustronnej dauryjskiej doliny, zaczyna się długi, wieloletni szereg jego poszukiwań przyrodniczych z nieporównaną wytrwałością, energią, pracą i prawdziwym poświęceniem.

Spółeczeństwo nasze tak mało posiada ludzi oddających się z zamiłowaniem pewnym specjalnym gałęziom wiedzy, tak niewielu na polu nauki wyróżnia się, jej się oddaje i posiada stosowne uzdolnienie, by zakres zdobytych naukowych rozszerzyć, iż ze skwapliwością podnosimy imię człowieka, który pracą odznacza się, a nauką chlubny rozgłos dla siebie i własnego społeczeństwa wywalcza. Takim bojownikiem na polu nauki przyrodniczej jest ziomek nasz, Dr Benedykt Nałęcz Dybowski.

Urodził się on na pograniczu ziem Nowogrodzkiej i Mińskiej w Adamczynie, w 1834 roku. Matka, kobieta energiczna zaszczerpiła w jego duszy hart woli i niezłomność zasad. Domowe wychowanie, kierowane przez matkę, przyczyniło się wiele do urobienia jego charakteru, i jeżeli dziś widzimy w nim, nie tylko uczonego lecz i człowieka — matki to praca.

Szkoła gimnazjalna w Mińsku Litewskim i studia uniwersyteckie w Dorpacie, Wrocławiu i Berlinie zapelniają dni jego wczesnej młodości. Studjuje medycynę i nauki przyrodzone, te ostatnie pod kierunkiem znanego w dziedzinie nauki profesora Grubego (we Wrocławiu), i przeważnie oddaje się badaniom

¹⁾ Używamy tu przy jego nazwisku przydomka „Nałęcz” — gdyż w ten sposób podpisuje się on na wszystkich swych artykułach naukowych, umieszczanych w rocznikach niemieckich, np. w *Journal für Ornithologie* i innych.

przyrodniczym, niezaniebując wszakże i medycyny. W obu tych gałęziach wiedzy zdobywał doktoraty, stara się o katedrę w Krakowie, której, gdy mu odmówił wówczas rząd austriacki (w r. 1862), obejmuje katedrę zoologii w nowo-założonej Szkole Głównej w Warszawie.

Wykłady uniwersyteckie młodego profesora upamiętniły się w umysłach ówczesnego pokolenia uczniów Szkoły Głównej; wspominają je do-
tąd ze szczera sympatją. Dybowski już wtedy marzył o eksploracjach przyrodniczych na odległych lądach. Madagaskar miał być celem jego naukowej wyprawy. Losy zrzuciły inaczej. Zamiast udania się na wody mórz południowych, zmuszonym był opuścić Warszawę i udać się na lądy wschodnie (d. 10 Sierpnia 1864 roku), gdzie zdobył dla siebie wiele uznania, a dla nauki przyrodniczej poczynił niemało zdobywczy.

Pierwszą stacją eksploracyjną był dla niego pobyt w tej darskiej dolinie—Darasu—o której wyżej wspominaliśmy. Pobyt ten, acz w warunkach niezbyt przyjaznych dla eksploracji prowadzonej, zdołał przysporzyć ogromną liczbę okazów fauny tamecznej. Sprawozdanie o pierwszych zawiązkach tych eksploracji, umieścił nasz przyrodnik w dwóch naukowych czasopismach niemieckich. Było to w latach 1868—1869. Od owej chwili liczne okazy jego zbiorów do Europy zaczęły nadchodzić, zbogacając również gabinet zoologiczny Warszawskiego Uniwersytetu, jak i inne obce zbiory i muzea naukowe. Pierwszeństwo posiadał zawsze gabinet warszawski, który, dzięki temu, w krótkim przeciągu czasu znacznie się zubożył ciekawymi okazami. Uposażywszy najpierw Warszawę, dopiero myślało o innych muzeach zachodnio-europejskich. Sprzedawano duplikaty do innych krajów odległych i w ten sposób eksplorator zdobywał środki do prowadzenia swych prac, bo wszystkie podróże, badania, kolekcje czynił o własnych siłach. Dziś od Warszawy aż do Lizbony spotykamy w gabinetach zoologicznych okazy fanny dauryjskiej, przez Dybowskiego zebrane, wśród puszczy i dolin otaczających strumień Darasu, położony, jakżeśmy rzekli, w Nerczyńskiej Daurii.

Drugi okres badań i kolektorskich prac naszego przyrodnika zaczyna się wówczas, gdy południowo-wschodnie wybrzeże jeziora Bajkału staje się jego eksploracyjną stacją. Nad Bajkałem, oprócz prac około pomnażania zbiorów i ich opisu, widzimy, iż niestrudzony badacz nad wymierzaniem Bajkału i studyowaniem jego dna pracuje. Te badania do najtrudniejszych i najpracownitszych należą; mógł je tylko prowadzić człowiek, który jako swe godło powtarzał słowa wielkiego poety, iż „mierzy siły na zamiary“....

W ruchomym domku, podczas ostrej, syberyjskiej zimy, posuwając się po szklistej przestrzeni lodem okrytego olbrzymiego jeziora, nasz przyrodnik spędzał dnie długie około przyrządu, który przezeń wynaleziony, służył mu do wymierzania głębiny tych wód niezbadanych. Z głębiny Bajkału wyjęte i wprowadzone przezeń zostały do dziedzin nauki, raczki z działu Gammaridów, których opis zawarł on w dość obszernym dziele niemieckim, wydanem w Petersburgu, kosztem tamecznego towarzystwa entomologicznego, w roku 1874.

Badania Bajkału dały świetne rezultaty dla wiedzy przyrodniczej, której nocy o tym jeziorze były do czasu eksploracji Dybowskiego prawie żadne.

Po dwuletnich pracach nad Bajkałem zaczyna się od 1870 r. szereg podróży i eksploracji na coraz-to większą skalę prowadzonych — jest to już trzecia doba działalności. Świadcami tych prac są wybrzeża jeziora Chanka, sąsiadującego z półwyspem Koreą, brzegi Oceanu Spokojnego, a uprzednio wybrzeża Amuru i rzek, które go tworzą.

Pobieżna opowieść i summaryczne wyliczenie ziem, rzek i jezior, które były polem jego działalności, nie daje nam zupełnego obrazu tej niestrudzonej i niczem się niezrażającej pracy, energii i wielkiej miłości swego zawodu. — „Całego siebie składałam w ofierze nauce, jej pożytkowi poświęcam wszystkie siły mej myśli, wszystkie chwile istnienia, wszystkie me radości i pocięchy“ — mógł-

by rzec nasz przyrodnik, i słowa te posiadałyby wszelkie znamie słuszności. Wśród secin ludzi, jacy przesuwają się przed wzrokiem naszym, nie widzimy człowieka, któryby, tak, jak on, całego siebie poświęcił specjalnej swej nauce: i to, wedle nas, jest najcenniejszą z zasług Dybowskiego. Przykładem pracy, zaparciem się siebie, dla podniosłych celów nauki, świeci on społeczeństwu... oby podążono za tym wzorem!

Po trzynastoletnim pobycie na dalekiej obczyźnie, wraca Dybowski 1877 r. do kraju, ale wnet układa projekta nowych eksploracyjnych wypraw. Tymrazem udaje się dobrowolnie na najdalsze północno-wschodnie kończyny starego lądu (w roku 1878) — do Kamczatki, i, pragnąc mieć środki na tę wyprawę, przyjmuje tam urząd lekarza półwyspu Kamczatki i wysp Komandorskich, o 260 mil odległych od stałego lądu.

Ostatnia ta, jak do obecnej chwili, doba działalności niestrudzonego przyrodnika, wszechstronna była niezmiernie. Obok obowiązków urzędowych lekarza poświęca się swym ulubionym przyrodniczym wyprawom, niosąc wszędzie myśl zającą, uczucie troskliwe o dobro ludzi, bezwzględnie gdzie są i jacy są. Wyprawy eksploracyjne i objazdy urzędowe odbywał tam w ciągu lat pięciu nieustannie, aczkolwiek połączone one były z niemałymi trudnościami — odbywał je psami podczas długiej i ostrej zimy, a łodzią i konno wśród bezdroży podczas krótkiego lata.

Pamięć humanitarnej myśli ziomka naszego, pozostała i długo zapewne istnieć będzie na tamecznych archipelagach. On-to bowiem zapobiegliwością swą, staraniem, sprowadził na wyspę Behringa renifery i pierwszą parę koni, czem tak wielką przysługę wyświadczył tamecznym mieszkańcom — Aleutom, jak na półtora wieku przed nim inny nasz ziomek — Pawłucki był dobroczyncą tubylewów Kamczatki, wprowadzając na rzeczonej półwyspie pierwszych kilka sztuk bydła i nasiona jarzyn.

Po pięcioletnim pobycie na tych dalekich pomorzach, u wód podbiegunowych, zawitał nasz badacz do kraju, wracając do Europy przez Ocean Indyjski i Suez. Liczne zbiory etnograficzne i przyrodnicze, jako trofea ostatniej wyprawy, towarzyszą mu. Podobno część tych zbiorów złożyć on myśli w Muzeum Dr Baranieckiego w Krakowie. Gabinet Warszawski zapewne otrzyma również w darze znaczną ich część, jak już wielokrotnie otrzymał, stając się w ten sposób zakładem bogatym w cenne kolekcje.

Uniwersytet lwowski ofiarował obecnie Dr Dybowskiemu katedrę zoologii. Mniemamy, iż w razie przyjęcia tej katedry, uczony badacz niemało się przyczyni do rozszerzenia wśród tamecznej akademickiej młodzieży zamiłowania wiedzy, do wyrobienia energii, polegania jedynie na własnej pracy, i niezrażania się niepowodzeniami — które to właściwości uwydatniają się w jego własnym charakterze i niezmordowanej działalności.

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3 ch AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

* A K T I.

(Dalszy ciąg).

* SCENA V.

Agis wchodzi

Pewne, o, pewne zwycięstwo!

Młodzież Spartańska za mną.

Agezystrata

Agis!

Agiatis

Agis!

Archidamia

Sza, mi!

Ja ze staremi jadalam królami:
Pierwsza zagadam do tego młokosa.
Chodź tu! kto ci to podszepnął?

Agis

Niebiosa.

Archidamia

Slyszales w nocy jakie duchów mowy? 1)
Czy jaka *Nimfa* 2) w koronach błyszczących,
Czy jaki świętych 3) hymnu przelatujących
Zbudził cię ze snu?...

Agis

Nie głosy grobowe,

Lecz upodlenia ludu coraz nowe,
Brak wszelkiej żądzy, próżnia wszelkiej

[chwaly 4),

Ze mnie Spartańską duszę wywołały,
Ze się ruszyła, jak w matki żywocie
Bolące dziecko...

Archidamia

O! ty, dziki kocie,

Który się rzucasz na własną ojczyznę,
Spokojną, świętą! — czy wiesz co ty czynisz?
Zadajesz może taką wielką bliznę.
Takim [q] 5) jadem namaszczasz i slinisz.
Jeśli wolności ukochać nie zdoła,
Jako twardego, groźnego anioła —
Ze może wieki przejdą, a czerwona
Ta wolność, ta kość przez ciebie rzucona,
Będzie po rynkach się naszych taczała,
A w niej i resztki królewskiego ciała
Drgające. — Słuchaj! Myślał-żeś ty o tem,
Ze ja i twoja matka, dwie królowe,
Teraz podparte perłami i złotem,
Jako przystoi na te czasy nowe,
Wszystko płamiące — teraz oto obie,
Jedynie tylko oparte na tobie,
Jak dwie żebraczki na jednym kosturze 6),
Wyjdziemy — i gdzieś w pioruny i burze,
Widziane wszemu ludowi żebraczki,
Na wszystkie może klątwy wystawione,
Jako Hekuby dwie w psy przemienione,
Albo na grobie twoim jak dwie płaczki —
W łachmanach.... czy ty.... czy ty nam żywotem,
Wyrobisz starym jałmużnę? 7). Precz, szczenię!
Bogów-s 8) nie słyszał — a tylko kamienie
Stare, przed domu widząc kołowrotem,
Myślisz, że stawić potrzeba kościoły 9) !
Do wrzecion, dziewki! Widzę, że na polu
Pobity nasz król krzykiem i kłopotem,
Radby już cofnąć się — a nie ma drogi.

Agis

Gdys, matko mojej matki, wspomniała ubogi 10).
Los Likurga — a może straszniejsze łachmany 11).
Stałem w głębi serca mego zadumany 12),
Nie wiedząc, jak obronić się nagłej żalości....
Bom przyprowadził tutaj ducha bez litości 13).
Ktoremu, jak król, oddam jutro ludzi mnóż-
[two 14),

1) „jakie duchów krzyki“, — „słowa“, — „skinięcia“.

2) Wyraz nieczytelny, prawdopodobnie: „nimfa“.

3) „jaki duchów,“.

4) „obojętność naszej...“.

5) W brulionie „go“.

6) „na spruchniałym“.

7) „czy ty pewnyś jest żywotem Wyrobić dla nas jałmużnę“.

8) „zaś“.

9) „Pomyślał, że ma budować...“.

10) „Gdys, Archidamio, wspomniała ubogi“.

11) „Kostur — może żebrackie łachmany“.

12) „serca zadumany“.

13) „I zawstydił się we mnie ten duch bez litości“.

14) „Który przyszedł, i oto na dcmowym progu“.

Stoi w progu.... a imię jego jest: „ubóstwo“.
Które pod jednym płaszczem cały kraj przytula.
Witaj go, matko moja, bo jest królem króla....
Przyjmij go, jeśli zostać chcesz z lakońskim
[gminem....

Cheesz być królową—to go nazwij twoim synem
I przyjmij w dom, bom ja go aż z niebios przy-
[wołał!

Archidamia

Precz ztąd, żebraku!

Agis

Jeślim nie podołał
Starym kobietom, tom nie wart być mężem—
I królem Sparty!

Archidamia

Co? myślisz orężem
Zdobywać twój dom i brać skarby moje?
Agis

Nie w domu jestem, lecz na rynku stoje.
Jako król ludu, wytryśnięty z bruku 1).
Idź! [i]-zaprobuj na brązowym wnuku
Paznogi twoich.... Ani ruszę głowy,
Choćbym był cały, jak król purpurowy,
Choćbyś....

Archidamia

Obdarła cię, jak orzeł z ciała 2).

Agis

Choćbyś nawet....

Archidamia

Co?

Agis

Choćbyś skołała!....

Archidamia

Agezystrato! słyszysz co on gada?

Agezystrata

Słucham—

Archidamia

Czy słyszysz jaki głos?.... (* upada).

Agis

Upada!

Archidamia

Sparta! ach Sparta!

Agis

Z ust się leje piana....

Agezystrata

Przez święte duchy—wzięta i targana....
Nie lękajcie się krzyków.

Archidamia

Sparta! Sparta!

Ho! Ho! Ho! włóżcie mi w zęby wrzeczono—
Sparta! Puszczajcie wnukiem oszaloną!
Sparta, ha!....

Agis

Chodźmy. Tu rzuciłem ducha,
A ta pierś jedna, cudownie otwarta,
Przywoła inne. Bóg muzyki słucha,

I na gwiazdach mi ton słowiański daje :
Tak wszystko służy temu, kto z Boga powstaje.
(*Wychodzą*).

Chorus

O! wszystko służy temu, kto powstaje z Boga 1)!
Nawet się Leonidas, drugi król, odmieni,
Nawet się Sparta, cała już w ogień uboga,
Pokaże jak różowa kolumna z płomieni.
I przez Achajską Ligę przejdzie głośnym kro-
[kiem 2).
Jak Bóg dawny, okryty mówiącym obłokiem....

Duch jednego człowieka, kiedy kraj owionie,
To mu czyni tę chmurę, straszną tajemniczą,
W której błyskają tarcze i *pryskają* 3) konie,
I szczękają oręże, różne hasła 4) krzyczą:
A pieśń poetów wszystko dokoła oddzwania,
Jako ton dalekiego płaczu i śpiewania 5).

Lecz, oto, macie Spartę kamienną przed okiem.
I lud, który się tłoczy około mównicy.
I dwa króle stojące przed narodu tłokiem,
Oba z odkrytą głową, w miedzianej zbroicy.
Gotowi zdawać sprawę z serca i z zarządu 6).
Jakby wobec Boskiego postawieni sądu....

*SCENA VI

Agis

Niech Leonidas pierwszy głos zabiera.

Leonidas

Tys mię zawezwał na to posiedzenie.

Agis

Chciałem ci nędzę narodu pokazać.

Leonidas

O! niepotrzebna troska, znam ją dobrze. ...

Agis

Idzie więc, sędzę, o prędkie lekarstwo.

Leonidas

Widzę, że młodzież zebrałeś przy sobie 7).

Agis

A tys starcami cały się otoczył....

Leonidas

Więc bliższy jestem, jak widzisz, Plutona.

Agis

Do ludu z naszą mową się obróćmy.

Leonidas

Lud zawsze słyszy, gdy się kłócą króle.

Agis

Ja żadnej z tobą kłótni nie zaczynam.

Leonidas

A jednak twój ton rąbie, jak siekiera.

Agis

Cheesz więc, ażeby cicho, jak oliwę,
Zaczął z mównicy lać mojego ducha?

1) „Błada duchowi, który sam jeden powstaje“

2) „ligę, jak piorun przeleci“.

3) „grzmia“.

4) „oręże grzmia“ „i rycerze....“

5) Zamiast tych dwóch wierszy:

[krzyczą] „Hasła, a nadewszystko jeszcze głośniejsze gwarzy,
Smętna, rozmiłowana, wierna śmia pieśniarzy“.

6) „Sprawę z tego, gdzie prowadzą“.

7) Po tym wierszu następuje:

„A zaś koło mnie sama starość srebrna“.

Leonidas

Jakiż to geniusz w tobie taki cichy,
Ze, jak oliwa, dar Minerwy płynie?

Agis

Geniusz Likurga.

Leonidas

O, groźne nazwisko!
Zanadto może płocho wywołane....

Agis

Lud mię usłucha w imię tego męża.
I ty sam przyznasz, że mam dobre plecy.

Leonidas

Idźmy więc oba—przed sądem Eforów
Złożyć przysięgę.

Agis

Dobrze—na to zgoda!

(Dalszy ciąg nastąpi).

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Inni goście z równym pewnie entuzjazmem wy-
rażali się o tej cudownej pannie Michalinie, która
tak wesolutko i dziecinnie się zabawiała tymcza-
sem, jakby jej żaden bagaż naukowy nie ciążył.

Emil czatował na nią oddawna — nie mogła go
pominąć nie rzuciwszy słówka, bo była bardzo
grzeczną.

— Nie widziałam pana przeszłego czwartku—
odezwiała się.

— Byliśmy w teatrze razem z Horpińskim!—
niezgrabnie odparł Emil.

Usłyszawszy to nazwisko, panna Michalina,
odrobineczkę się zatrzymała z odpowiedzią. Spoj-
rzała w oczy Paczusiemu, trochę zdziwiona.

— Zbliżyłem się trochę do Horpińskiego —
rzekł Emil—a winienem to pani. Ciekawość jest
zaraźliwa.

— A! moja już minęła!—odezwiała się panna—
a pan zaspokoiliś-że swoje?

— Niezupełnie—rzekł Paczusi — ale, coś mi
się jednak zdobyć udało... Rys charakteru, nie
więcej.

Wiem, że pan Sylwan miewa fantazje... i cza-
sem,—jak sam się przyznaje, gdy go porwie chęć
do błędzenia samotnego po okolicach, lub—co
on nazywa—polowania... puszcza się, nieopowie-
działwszy nikomu, nawet służącemu... w świat...

Trwa niekiedy to używanie samotności całę ty-
godnie...

— Panna Michalina słuchała z udaną oboję-
tnością.

— A! to mnie wcale nie dziwi — rzekła. — Są
chwile, gdy człowiek pragnie być sam z sobą. Ja
to bardzo dobrze rozumiem...

— Ja — jakoś mniej to sobie umiem wytłoma-
czyć — odparł Paczusi — bo towarzystwo lubię
bardzo i potrzebuję go, a sędzę, że człowiek nie
jest stworzony do samotności.

— Tak jest—wtrąciła panna Michalina — lecz
niekiedy jest ona potrzebą duszy. Człowiek
chce skupić myśli — albo znajduje się w takim
usposobieniu, że dla innych byłby ciężarem.

Emil nie odpowiedział już, zapatrzył się w pię-
kne oczy panny Michaliny, które tęskny wyraz
jakiś przybrały. Zbliżający się Salvator, który

na pannę czatował dawno, pochwycił ją usiłując zabawić plotkami—a Paczusi pozostał sam.

Odwiedziny, których się mógł spodziewać od Horpińskiego, wypadły niewątpliwie, bo—on go nie zastał. Potrzeba było kilka dni spauzować, nie okazując się zbyt natrętnym, nim-by nowa nastąpiła wizyta.

Gdy Emil zadzwonił znowu do drzwi tych, za którymi zawsze go nęciła tajemnica—wyszedł na przyjęcie jego Konrad i zimno mu objawił, że pana—nie było.

— Cóż? znova na jakiej ekskursyi? — spytał, śmiejąc się Emil.

— Nie—na mieście—krótko i sucho rzekł, kłaniając się służący, który, dłuższej rozmowy unikając, rękę po bilet wyciągnął.

I na tem się skończyło.

Paczusi miał właśnie wyścigowe troski na głowie; zajął się niemi nadzwyczajnie, wpadł między sportsmenów—i o Horpińskim zapomniał.

W tym roku konie i a tor warszawski przybyły z najrozmaitszych stron, z odległych prowincyi, między innemi panowie Nitosławscy z Podola, mający bardzo piękne i sławne stadniny, przyprowadzili dwa bieguny, powszechną oiekawość obudzające.

Nitosławskich tu nikt nie znał, wiedzano tylko, że mieli niepodzielną fortunę ogromną, że jeden z nich mieszkał często w Anglii, i miał handlowe interesa znaczne. W stajni Nitosławskich, do której ciekawo byli przypuszczeni—p. Emil po raz pierwszy spotkał obu braci — i na ich widok stanął zdumiony tak, iż o zaprezentowaniu się zapomniał.

Przyczyną tego osłupienia było, niesłychane, zdumiewające—przerazające niemal podobieństwo twarzy, ruchów, głosu obu panów Nitosławskich do—Sylwana Horpińskiego.

Paczusi znalazł je tak uderzającym, iż mu na myśl przyszło, że tylko pokrewieństwo jakieś mogło takie podobieństwo tłómaczyć.

Dopiero po chwili, przyszedłszy do siebie—gdy go przedstawiono panom Nitosławskim gdy wdał się z niemi w rozmowę, która spostrzeżenia pierwszego nie tylko nie osłabiła, ale je jeszcze uczyniła wyrazistszem—przekonał się p. Emil, iż podobieństwo wistocie było nadzwyczajne, ale byli to zupełnie inni ludzie, nie w rodzaju Horpińskiego... Wychowanie widać było na nich bardzo staranne, obycie się ze światem europejskim, znajomość stosunków ogromną — ale sport, handel, spekulacye, życie świetne... głównie ich zajmowało.

Paczusi dla siebie wołał ich, niż Horpińskie—go—nie mógł jednak zaprzeczyć, że daleko mniej od niego byli warci.

Sylwan na każdym czynił wrażenie niepospolitego człowieka, osobliwości wybranej, gdy pp. Nitosławscy wcale oryginalnością nie grzeszyli, i należeli do tej masy pospolitej, przyzwoitej, pod strych wychowanej, która zapelnia salony, i stara się nieodznaczać niczem.

Czysto więc tylko przypadkowe podobieństwo rysów twarzy zbliżało ich do Sylwana, który o dobrych lat kilka od nich był starszym.

Podobieństwo to, które tak mocno uderzyło Emila, musiało być nadzwyczajnem, gdyż kilka osób równie z nim było zdumionych.

Porównać jednak tych typów z sobą nie było możliwem, bo Horpiński na wyścigach nie bywał i do sportsmenów nie należał.

Tegoż dnia właśnie czwartkowy wieczór zapędził Paczuskiego do Zawierskich. Wyścigi ścigały do stolicy mnóstwo osób z prowincyi, znajomych pani domu; salon i saloniki były przepełnione. Panna Michalina, jakby na przekór temu świetnemu bardzo zbiegowisku, wystąpiła dnia tego nadzwyczaj skromnie ubrana, bez najmniejszej chęci podobania się.

Emil w początku, choć pragnął się do niej zbliżyć, docisnąć się ni mógł — obłożoną była ciągle. Oczyma szukał Sylwana Horpińskiego—i nie znalazł go. Zaglądał po wszystkich pokojach i zakątkach—i przekonał się, że go nie było. Panów Nitosławskich także nie znalazł, bo ci w innych kołach się obracali i nowych znajomości nie robili chętnie, tam, gdzie byli gośćmi tylko.

Po wieczery dopiero błądzący z salonu do sa-

lonu i dosyć znudzony. Paczusi spotkał się, przechodząc, z panną Michaliną.

Zaczepiła go sama o Horpińskiego.

— Gdzież jest pański przyjaciel Horpiński?—spytała.

— A!.. przyjacieli!—roześmiał się Emil.—O tem nie wiedziałem.—Zdaje się, że go też niema, dawno nawet dosyć nie miałem przyjemności go spotkać, ale dziś za to, aż dwóch jego Sozjów?

Panna Michalina spojrzała zdumiona.

— Sozjów! cóż to ma znaczyć?

— Osobliwa igraszka natury—rzekł Paczusi, chcący się popisać z erudycją. — Sądziłem, że coś podobnego spotyka się tylko w starych komedjach! Niech pani sobie wyobrazi dwóch braci... nazywają się Nitosławscy, mają prześliczne konie—tak z twarzy, głosu, ruchów podobnych do Sylwana Horpińskiego, że zobaczywszy ich, osłupiałem...

Jak żyje takiego podobieństwa anim widział, ani mogłem przypuścić.

P. Michalina słuchała... ale ją to mało zdawało się obchodzić. Paczusi starał się tym fenomenem niezmiernie ją zainteresować. — co mu się nie udało.

Nalegał tak na trafność swojego spostrzeżenia, iż kilka osób, z tych, które Nitosławskich widywały, wezwał na świadectwo. Wszyscy wistocie potwierdzili uderzającą niemal tożsamość rysów, lecz i panna i oni nie przywiązywali do niej wagi i mieli ją za przypadkową.

Panna Michalina dodała, kończąc rozmowę o tem, że rzeczą nie było rzadką, spotykać ludzkie podobieństwa — tylko tem zadziwiające, że nie ciągnęły za sobą pokrewieństwa ani ciała ani ducha.

Professor W.... zakończył, że największy głupiec mógł napozór być do najmędrszego filozofa podobnym.

Paczusi, tego wieczora więcej niż zwykle ożywiony, zanadto mówił o Horpińskim, zbyt się nim zajmował i do pewnego stopnia się tem skompromitował.

Zapóźno potem pomiarkował się, iż tę paplaninę niepotrzebną ktoś mógł Sylwanowi powtórzyć. Horpińskiego tymczasem jednak nie było i przez kilka dni następnych nigdzie się widzieć nie dawał.

Ci, co chcieli na razie sprawdzić owo jego podobieństwo do Nitosławskich, nie mieli zręczności po temu, bo Sylwan — nie był ani na wyścigach, ani nawet, jak się zdawało — w mieście. Emil Paczusi tegoż wieczora u pań Zawierskich niespodzianie wcale wpadł w łapkę. Nie była ona zastawioną na niego — ale los mu ją widać przeznaczał.

Płochy dotąd i przerzucający się z kwiatka na kwiatek, używający swej młodości, pan Emil, który się nigdy nie kochał — spotkał u Zawierskiej panią Bydgoską z córką, świeżo przybyłe do Warszawy.

Niegdyś Bydgoscy, którzy teraz od lat wielu przenieśli się w Płockie, mieszkali w bezpośrednim sąsiedztwie państwa Paczuskich, o miedzę. Pani Bydgoska i jej mąż, byli w najczulszej przyjaźni z jego rodzicami, a mały Emilek pamiętał jeszcze mniejszą, w blond loczkach, dziewczyneczkę Maniusię, którą naówczas wystrojoną niania prowadziła za rączkę. Dziecię to było zachwycające.

Dowiedziawszy się o tej przyjaciółce matki, Emil poszedł się jej przypomnieć, a uszczęśliwiona jejmość powitała go serdecznie, jak własne dziecko. Obok niej postrzegł Emil panienczkę—jakby z francuzkiego obrazka zdmuchniętą, istotę powietrzną, wesolutką, figlarną, śliczną jak aniołek, śmiałą jak dziecko, z włoskami złotemi, z oczkami niezapominajkowemi—stworzoną zda się nie do życia na tej ziemi razowego chleba i krwawego potu, ale z eterów, w poselstwie od ideału..

Była to owa Manusia, która nie mając tu znajomych, zmuszona się trzymać sztywnie i milcząco, była niezmiernie wdzięczną Emilowi, że się tu znalazł.

Pochwyciła go jak dobrą, starą znajomość, którą mogła zawładnąć. Paczusi stanął do usług—a oczki niebieskie i usteczka różowe tak przemó-

wiły do niego, że rażony, gdyby piorunem—zakochał się w Maniusi!

Zakochanie to gwałtowne dokonało się w ciągu pięciu minut; w kwadrans potem Paczusi mówił sobie w duszy, iż Maniusia była mu przeznaczoną.

Cały wieczór przetrwał na straży przy matce i córce, tłómaczył im nieznanym ludzi, opowiadał historyjki—starał się okazać jak rozległe ma stosunki, popisywał się z dowcipem własnym i pożyczanym.—słowem: formalnie rozpoczął służbę przy Maniusi, która również uprzejmie, nieopatrznie, gorąco, dziecinnie nim się zajęła.

Dla wszystkich gości tego wieczora było to uderzającym; uśmiechano się z Emila, którego, nikt nigdy nie widział jeszcze tak roztrzępionym i rozgorączkowanym zarazem; nazywano panienczkę—nawną i zdradzającą wychowanie na wsi.

Dla samej Bydgoskiej, która, prawdę powiedziawszy, przybyła do Warszawy dla... Maniusi, myśląc, że tu jej piękność ocenioną zostanie i świetny los jej zapewni—nie mogło nie być pożądlivszem nad spotkanie z Paczuskim... nie mogła dla dziecka życzyć nic pomyslniejszego nad rozkochanie się bogatego jedynaka, który był razem młodym, miłym i dobrym chłopcem.

Trochę zabobonna, wierząca w przeczucia, kabaty i t. p. Bydgoska coś opatrnościowego widziała w tem zbliżeniu się do Paczuskiego i życiem zajęciu, jakie on okazał zaraz Maniusi. Zaprosiła go nazajutrz do siebie, oddała się w jego opiekę i jako, przyjaciółka matki, zapowiedziała mu, że będzie jego dobrego serca używać i nadużywać, bo w Warszawie niema nikogo.

Paczusi ofiarował się ciałem i duszą na służę i niewolnika...

Manusia groziła mu już tego wieczora, że go obie z mamą zamęczą, bo tysiąc rzeczy im brakło, a nie wiedziały, gdzie ich szukać.

Następnych dni ci, co się zwykli byli spotykać z Emilem w teatrze, w cukierni, w restauracyi—postrzegali, że go brakło. Spędzał prawie cały czas na bieganiu z Bydgoskimi lub dla nich. Józio nawet przez dwa dni go nie mógł złapać.

— Co się z tobą dzieje? — zawołał w ulicy go spotkawszy pędzącego pokawalersku.

— Oszalałem, przyznaję się — odparł Emil — prześliczna, cudowna różyczka przybyła tu ze wsi. Znałem ją dzieckiem... zdaje mi się, że jestem zakochany!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Styczniu 1884 r.

Kometa.—Karnawał.—Bale u namiestnika. —Urozmaicenie zabaw.—Bazar świąteczny. — Wieczorek dziecięcy w Kasynie Miejskiej. — Wykłady popularne. — Odczyt pani Boberskiej o Gabryeli. — Odczyt dla czeladzi rzemieślniczej. — Czasopismo dla ludu *Niedziela*. — Nowe pismo ilustrowane literackie *Ognisko domowe*. — Czasopismo myśliwskie *Lowiec*. — Zapis ś. p. Bonifacego Sztillera na rzecz wdów i sierot po lekarzach. — Fundacya ś. p. Kochmana na wspomnienie literatów i ubogich dziewcząt. Pięćdziesięcioletni jubileusz x. opata Nowakowskiego w Żółkwi.

Jako zapowiedź zbliżającej się komety, pojawia się i u nas przy pogodzie wieczornej szczególniejsze zjawisko meteorologiczne. Po zachodzie słońca cała przestrzeń nieba od strony zachodniej, ponad Zakładem imienia Ossolińskich i górą Wronowskiego, pławi się w morzu różowych blasków, na których tle wspaniale rysuje się cerkiew św. Jerzego, a cała dzielnica miasta w pobliżu oblana światłem prawie dziennem, przedstawia się jakby słońcem elektrycznym oświetlona. Rzecz naturalna, że niezwykle to zjawisko zwraca ku sobie co wieczór oczy mieszkańców lwowskich, którzy według osobistego swego usposobienia, z rozmaitem przypatrują mu się wrażeniem. Jedni zachwycają się jego pięknoscią w poetycznem uniesieniu, inni, praktyczniejsi, przewidują w niem zapowiedź tegiej zimy, utyskując już zgóry na

prożną opał w takim razie, inna znów inne, jak najrozmaitsze, snują prognostyki, a nawet kombinacje loteryjne, które wszakże dotąd podobno nie ziściły nadziei domorosłych naszych meteorologów i — loteryjników.

Pozostawiając uczonym do rozważania niewchodzące w nasz zakres kwestye astronomiczne, od zjawisk niebieskich przejdźmy do spraw ziemskich, do trosk i zabaw codziennych, oplatających zmiennym łańcuchem życie ludzkie. W chwili, gdy to piszę, grzmi karnawał w całej pełni, pochłaniając swym wirem wszelkie inne prace i zajęcia, ustępujące chwile na drugi plan. Ten zabaw wychodzi u nas zazwyczaj z salonów namiestnikowskich. Gdy tam zabrzmiała muzyka balowa, echo jej rozchodzi się szeroko po wszystkich innych salonach arystokratycznych, wywołując bal po balu w domach prywatnych, do sfery tej należących. Przeciwnie, gdy w którym karnawale z tej lub owej przyczyny zapadła cisza w salonach namiestnika, wnet udziela się całemu miastu; skromne herbatki zastępują miejsce balów, a modniarki i sklepy galanterijne utyskują, pozbawione żniwa, na które cały rok czekały. W roku bieżącym nowy namiestnik Załeski świętnie inauguruje karnawał dwoma zapowiedzianymi balami i całym szeregiem pomniejszych wieczorów tańczących, których wzorem następują podobne zabawy w innych salonach prywatnych, rywalizując pod względem świetności urządzenia, a zwłaszcza toalet balowych, z salonami namiestnikowskimi. W zabawach naszych daje się wszakże widzieć od niejakej o czasu pewna zmiana, pewne urozmaicenie rozszerzenie ich zakresu, znamionujące ducha, usposobień towarzyskich, szukającego więcej niż dawniej treści w zabawie. Nie mówię o zwykłych balach, bo tych treści są zawsze tylko stroje i tańce, ale uspo-

bienie powyższe objawiło się głównie w szeregu zabaw publicznych i domowych — w tegorocznym adwencie, jako wstęp do karnawału. Najpierw weszły w modę, niezwykające u nas dawniej *koncerty spacerowe*, gdzie miejsce tańca zastępuje rozmowa i przechadzka po sali balowej, przy odgłosie dobranej orkiestry. Kilka tego rodzaju koncertów, urządzonych w Kassynie Miejskiej, po-

certami spacerowemi śpiew chórally lub solowy nierzadko przedstawienia teatralne amatorskie, lub odczyt humorystyczny dla urozmaicenia zabawy. Urządzamy rokrocznie przed świętami Bożego Narodzenia, za pobudką i pod opieką księżny Leonowej Sapieżyny, na dochód Zakładu św. Teresy, bazar świąteczny, urozmaicił się także bardzo w tym roku: prócz bowiem zwykłych

drobiazgów toaletowych i innych powszedniego użytku, znajdowały się w bazarze tegorocznym, książki, rzeźby i tym podobne przedmioty prawdziwej wartości, a nadto, wchodząc na tory praktyczne, sprzedawał bazar tegoroczny wszelkiego rodzaju wiktuały potrzebne na święta, przez co stał się, zgodnie z swą nazwą, bazarem prawdziwie świątecznym. Publiczność kupująca znalazła tam pokarm duchowy i cielesny, a zakład dobroczynny pożywił się blisko dwoma tysiącami guldenów, dzięki dobroczynnej zapobiegliwości swej inicjatorce.

Kiedy mowa o zabawach, pozwólcie, że jeszcze wspomnę o jednej, zasługującej na wzmiankę nie tylko oryginalnością pomysłu, ale i urządzeniem odpowiednim celowi. Był to wieczorek dla dzieci w Kassynie Miejskiej, różniący się jednak od zwykłych wieczorów tego rodzaju tem, iż nie tańce, lecz inna powabna niespodzianka, dla młodziuchnych uczestników przygotowana, była przedmiotem właściwym i celem zabawy. Z dawien dawna znaną legendę, że święty Mikołaj w wigilię swej uroczystości znosi grzecznym dzieciom podarki, a różgę nie-



Ojciec Laurenty i Julia.

wiodło się wybornie, i wprowadziło je stale w programmat zabaw towarzyskich na przyszłość. Z koncertami temi połączoną bywa nieodzowna *tombola*, pociągająca urokiem nowości, a zarazem ozdobnością i oryginalnością dobranych umyślnie przedmiotów, przeznaczonych jako dar fortuny dla obecnych. Obok tomboli idą w parze z kon-

grzecznym, postanowiono przedstawić w żywym obrazie, na dziecięcym wieczorku w Kassynie, skutkiem czego zgromadziło się pod okiem rodzicielskim około ośmdziesiąt dzieciaków obojej płci, w sali teatralnej Kassyna, z bijącymi serduszkami, w niepewności czem je św. Mikołaj obdarzy. Zrazu dzieci były niesmiałe i

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Dom otwarty, komedia M. Bałuckiego, w 3 aktach. — Skarb, obrazek dramatyczny F. Coppée'go w 1 akcie — obie sztuki przedstawione w nowo-odbudowanym Teatrze Rozmaitości.

tuliły się pod skrzydła rodziców; wnet jednak ożywiła się zabawa, gdy na dany znak, przy stosownej muzyce, podniosła się kurtyna, a na scenie ujrano św. Mikołaja z długą białą brodą, otoczonego mnóstwem przedmiotów przeznaczonych na podarki, z artystycznym ułożonych smakiem drobiazgów, świecideł i t. p. Tymrazem uznał św. Mikołaj wszystkie obecne dzieci za grzechne: spędziwszy zatem z wielką uciechą tychże, ze sceny dyablika, w kącie z różgą czyhającego, po oddeklamowaniu przez jednego z uczestników zabawy zastosowanego do okoliczności wiersza, zaczął rozdawać przyniesione podarki. Heł-to było uciechy i śmiechu! Rozjaśniły się buziaki, uradowały serduszka, znikła sztywność i nieśmiałość początkowa, a dzieci, uszczęśliwione, bawiły się do północy, odniósłszy z tej zabawy, nie tylko uzyskane podarki, ale zarazem wrażenie, które im pozostanie nadługo w pamięci i będzie pobudką do starania się, aby i na przyszłość zasłużyć na podarek od św. Mikołaja.

Szczęśliwe dzieci, co jeszcze wierzą w legendowe niespodzianki! Nam, starym, nie już podobno los nie przyniesie, czego sobie sami twarzą nie przysporzymy pracą, nie zdobędziemy nauką. A i o zabawę nie łatwo, o chwilę wytchnienia i przyjemnej umysłowej rozrywki po pracy. Szczególnie zazdrościmy Krakowowi jego towarzyskich naukowych gawędek u p. Pawła Popiela. Lwów, rozbity na atomy, nie posiada takiego ogniska, które byłoby istotnym łącznikiem świata literackiego, a wszelkie usiłowania, aby się nim stało tutejsze *Koło literackie*, nie odniosły pożądanego skutku, jak świadczą dotychczasowe jego koleje i rozmaite, przez osoby stojące na czele jego, przedsiębrane próby. O przyczynach niepowodzenia nie piszę, bo to już rzeczy ściśle miejscowe, a zakończę tylko życzeniem, aby w tym Nowym Roku i *Koło literackie* lwowskie w rozwoju swym doznało pomyślniejszego losu.

Łakącym umysłowej rozrywki następują takową rozmaite treści, na rozmaite cele i dla rozmaitych kół słuchaczy, urządzone wykłady popularne, którym nie przeszkadza objawiające się o ściany sal wykładowych echo karnawałowej muzyki. Towarzystwo Pedagogiczne rozpoczęło swe wykłady z Nowym Rokiem, na które co Środa gromadzi się przeważnie nauczycielstwo wszystkich szkół tutejszych, a najwięcej młodzieży niewieściej, uczennice seminaryum pedagogicznego, kandydatki zawodu nauczycielskiego. Treść wykładów stanowią przedmioty z dziedziny nauk i literatury, dobrane tak, iżby uzupełniały wykształcenie i wiadomości ze szkoły zaczerpnięte. Towarzystwo akademickie młodzieży żydowskiej, noszące hebrajską nazwę *Agudas Achim*, „Przymierze braci“, odbywa tygodniowe bezpłatne wykłady, poświęcone rozbiorowi i wyświeceniu kwestyj konstytucyjnych, prawnych i społecznych. Wykłady te, w zdrowej myśli i w pojedynczym duchu, mają głównie na celu szerzenie zasad obywatelskich, pomiędzy wykształconą warstwą ludności żydowskiej. W przedmiejskich czytelnicach urządza równocześnie Towarzystwo Oświaty Ludowej wykłady głównie dla młodzieży rzemieślniczej, która z nich chętnie korzysta, co jest pomyślną oznaką moralnego usposobienia w tej sferze, najbardziej może na szkodliwe wpływy i podszepty z rozmaitych stron narażonej.

Nader miłe wrażenie odnieśliśmy z odczytów pani Felicji Boberskiej „O życiu i pismach Narcyzy Żmichowskiej“. Piękna, aureolą poezji opromieniona a cicha i skromna postać Gabryeli, którą słusznie „Bluszcz“ nazwał: „Pięknym kwiatem naszej ziemi, lilią białą poezji, archaniołem ducha rodzinnego i krajowego“, wystąpiła w odczycie p. Boberskiej, w świetle tak ujmująco sympatycznym skreślona, z taką prawdą i tak wiarę ocenieniem jej stanowiska w życiu i literaturze, że wizerunek ten, będący owocem rozbioru prac i życia poetki, dokonanego z zamilowaniem i znajomością rzeczy, jest cenną kartą do dziejów tej chwili umysłowego życia społeczeństwa warszawskiego, kiedy Gabryela była duszą, garnącą się wkoło niej grona Entuzjastów i Entuzjastek, tego życia snujących promienistą przedzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Cokolwiek kiedyś historia literatury powie o komedypisarstwie Bałuckiego, to jedno dziś już powiedzieć może krytyka, że nie należy ono do rodzaju, który pseudo-klassyk francuzki jedynym złym rodzajem sztuki nazwał: jest zabawne — a świat przecież, zarówno w życiu jak w teatrze, zabawy tylko, zabawy szuka. Na sztukach Bałuckiego uśmieć się można dowolnie, nie tylko z dowcipu słów, ale nawet z dziwactwa ubiorów, ze śmieszności akcesoryjów, w których nie zgola psychicznego, należącego do sztuki, dostrzedz nie zdołasz, choćbyś autorowi nieba przychylić pragnął. Cóż np. za psychologia kryć się może w kaloszu, w futrze, w paletocie? — a jednak wszystkie to przedmioty są u Bałuckiego środkami działania komizmu, i to środkami skutecznymi, bo się publiczność za boki bierze i od śmiechu pokłada. Jest to już rodzaj Bałuckiego — te rozpasyne pohulanki, mające nas bezwiedną wesołością po smutkach życia pocieszać. Widać w nich wprawdzie satyrę, ale tak łagodną, tak lekką jak gaza na ramionach kobiety. Gdzieindziej ta satyra jest srogą, niemilosierdną, chwytą i ścisną jakby żelaznemi kleszczami; u Bałuckiego przyjdzie, stanie, pokiwa głową i uśmiechnie się i pójdzie — śladu po sobie nie zostawiwszy; a zdarza się nie raz, że sama do towarzystwa przystaje i zapominając o dostojności swojej, z tymi, których smagać miała, w wesołe płasy się puszcza. Taka już jest natura tego talentu — bo, że to jest talent: o tem wątpić nie można — talent nie ściśle dramatyczny wprawdzie, ale umiejący wytwarzać rzecz najogólniejszą a przez to i najniezbędniejszą w sztuce: ruch. Iluż rzeczywiście rzeźbiarzy i malarzy charakterów pozazdrościł-by mogło Bałuckiemu tego daru poruszania ludźmi, przezręczania ich tu i owdzie, ożywiania towarzystwa na scenie i towarzystwa w sali widzów. Dar ten Bałucki posiada i przezeń właśnie stał się ulubieńcem publiczności. Z tym darem łączy niezaprzeczony, choć często zawodzący, dowcip — ale łatwość tworzenia, naiwność jego sztuki sprawia, że go nigdy mozolnie nie pompuje: jeśli mu nie idzie oryginalny, z własnego wnętrza wzięty, poprzestaje na oklepanym, należącem do wszystkich, trywialnym, grubym i tłustym, byle tylko nie mozolić się, nie ślęczyć, nie dopuszczać się rozboju z włamaniem — tego przestępstwa, właściwego tylu piszącym dla sceny. Ludzie Bałuckiego są powiększej części nieokrzesani, surowych obyczajów i dziwacznych nałogów, słabo zindywidualizowani, treścią psychiczną niuderzający, artystycznie wątpli, ale, że jeden drugiego podpira, że żaden w miejscu nie przystanie, aby mu się z rozwąga przypatrzyć było można, że wszyscy ciągle się kręcą i wirują: całość jakoś się trzyma. Ponieważ dopiero, kiedyś się już uśmieć, poznajesz, żeś się śmiać nie miał z czego. Ależ taksamo i w życiu: gdy żyć przestajesz, widzisz, żeś żyć nie miał po co...

Dom otwarty ukazuje nam śmieszność i niedogodności, jakie choroba życia otwartego za sobą prowadzi; oczywiście: śmieszności jaskrawiej, lepiej szczerzej tu występują, niż ich cienie — niewygoda i przykreść. Akt trzeci, po wyhulaniu się już towarzystwa, nie bawi tak, jak poprzednie; nieunikniona kartka w bukietcie gra rolę dość niezręczną i widać, że była potrzebną tylko do wprowadzenia obłudy i wygłoszenia przepysznej sentencji przez damę, znającą się dobrze na plamach honoru kobiecego: że nie tak nie plami kobiety, jak atryament. Tego wszystkiego po bał spodziewać się było można; ale to wszystko byłoby innem, lepszem, wyrazistszem, gdyby miało dla siebie odpowiednio od początku wytworzone charaktery. Ruch sztuki zawiera się w dwóch pierwszych aktach: pierwszy przygotowuje, drugi daje już rzecz gotową — jedną z tych pohulanek, które najlepiej się zawsze Bałuckiemu udają. Nie brak tam niczego: ani futer,

ani kaloszy, ani pantofla — w postaci zazdrosnego a oszukiwanego męża, — ani mazura, który na wet trwa tak długo, jak chyba nigdy jeszcze w komedii nie trwał, od czasów, kiedy komedye baletami urozmaicano, a było to jeszcze w XVII wieku. Wszystko rusza się, żyje, rozśmiesza: i ten, choć nie nowy, aptekarz z Grójca, i galeria córek na wydaniu z zadąsaną, bo nie odbierającą należytych od świata respektów mamunią, i to cięćle zepsute, które potrzebuje tylko spojrzeć na kobietę, aby ją podbić, i ten wreszcie dyrygent tańców, wielką ich rolę w społeczeństwie sławiący.

Akt pierwszy rozpoczyna się miłością, ale w aktach następnych już jej nie widzimy — na krótko tylko ukazuje się nam i konwencyonalnie. Ten akt pierwszy prowadzony jest tak, że daje nadzieję ujrzenia poważniejszej komedii, ale dwa dalsze nadzieję tę zawodzą.

Dowcip *Domu otwartego* nie zawsze jest wybrednym — nie nowina to dla znających sztuki Bałuckiego — ale jest często zużytym, jak np. ów „Malinowski“, którego mógłby już taki pisarz pozostawić niżej od siebie stojącym, nowicyuszom bez rzetelnego powołania. Na takich strunach grać już niewarto i niewolno: zużyte faccety, nie tylko nie wytworzą sztuki, choćby najbardziej rozhułanej, ale jej i nie przyozdobią: pozostawiają tylko niesmak. Bałucki powinienby koniecznie ten swój koncept niesmaczny usunąć.

Miłą postacią jest wujaszek Telesfor: wesoły, serdeczny, gościnny, ale umiejący trzymać młokosów w karbach. Oboje Żelscy są postaciami dodatkowymi; ale się do nich nie lgnie, bo ich autor nie wyposażał w treść charakteru i temperamentu, wystarczającą na to, aby dana osoba dramatu widza przyciągnąć do siebie mogła.

O całości co powiedzieć? Ludzie się śmieją — a gdzie śmiech, czyż tam źle być może?

Nietrudno było zagrać sztukę dobrze, bo sztuka niema charakterów, któreby wymagały studyów, ani tego szlachetnego komizmu, któryby tylko talentowi samemu ująć i oddać się pozwalał; ale nie łatwo było zagrać ją tak wybornie, jak ją zagrano na scenie Teatru Rozmaitości, odbudowanego po pożarze d. 11 Czerwca r. z. i nanowocznego od 15 Stycznia r. b. Niepodobna więc wymagać ani od p. Rapackiego (Wicherkowski), ani od p. Wolskiego (Fikalski tancerz), ani od p. Sikorskiego, (ów aptekarz z Grójca, nazwiskiem „Fujarkiewicz“). Dobrze się przykładają do powodzenia sztuki i panie; a gdy się rzadko do tego zdarza sposobność, z pomiędzy nich wszystkich wymieniamy tu tylko p. Borkowską, jako żonę Wicherkowskiego. Rola ta była zagrana wcale dobrze. Zwykła kłajstrowatość wysłowienia szczególnie jakoś opuściła artystkę, a co się tyczy powolności, — to lubią ją przybierać tego rodzaju istoty, niby-to dla lepszego tonu.

Skarb Coppée'go, przed którym Nieśmiertelni uchylają swe podwoje — wcale nazwiska autora nie uniemożliwia. Spodziewaliśmy się sztuki lirycznej, przez gorące szczere uczucie wydanej; znaleźliśmy coś w kompozycji niepoetycznego, jakby stolarską przypominającego robotę. Dzień wielkiego imienia zbiedniały przez nieszczęście, siedzi w swym zamku bretońskim za czasów Pierwszego Konsula, markotny, że go zdradziła panna jakaś arystokratycznego rodu, a myśląc o grożącej ruinie majątkowej, bierze się do pracy, jak prosty ekonom. O zamku krąży legenda, że w nim ukryty jest jakiś skarb wielki. Zjawia się stary professor piszący tragedye — bardzo niesmaczny i nieprawdziwy. Pan zamku daje mu u siebie gościny — ale nietylko jemu, także i jego brataniec, młodej i, oczywiście, pięknej Weronice. Zdawałoby się, że ona-to będzie bezpośrednim skarbem dla duszy zbolalej, dla czoła ociekającego potem — niby lekki powiew, aksamitne wezglowie, jakiego potrzebują strudzeni a jeszcze sercem młodzi. Weronika takim wezglowiem, takim skarbem chętnieby została: ale autor — chyba tylko wskutek dziwnej jakiejs sumiennosci wobec zasłyszanej legendy — wydobywa istotnie z komina skarb fizyczny: szkatułkę dużą z brylantami, a prawdziwie już posuwa się do banalności, gdy każe staremu profesorowi szukać w szpargałach dowodu, iż brylanty są tylko naśladowane, bo prawdziwe przed laty, jeden z przodków księcia de la Roche,

tak się nazywa pan zamku, oddał na potrzeby ojczyzny. Pomimo zburzonej w ten sposób wiary i radości, staje się, co się stać miało: Weronika będzie panią zamku; szkoda tylko, że nie doszła do tego w sposób daleko prostszy, prawdziwszy, lepiej naturze serca ludzkiego odpowiadający: nie przez łamaną sztukę niespodzianek, ale prostą dla wszystkich otwartą drogą uczucia. Czyliż nie lepszym od tego znalezienia fizycznego skarbu, i to fałszywego skarbu, byłoby dostrzeżenie duchowego w Weronice, któraby mogła być i pocieszyć cięłą w strapieniu i pomocnicą w trudach życia? Książę, szukający zawodnego skarbu przodków, znalazłby w jego miejsce skarb niezawodny: serce kobiece zdolne uszczęśliwić. Byłoby i więcej poezji i więcej dramatyczności, oile na nią sam temat pozwalał. Uczucia obudzone w duszach obojga młodych na widok skarbu nie wynagrodzą nigdy tej straty, jaką sztuce ów komin i owa szkatulka wyrządziły. W tej postaci — jaką ma, obrazek Coppée'go, najniewłaściwiej nazwany „komedią” — przypomina bajeczki kanonika Schmidta — oczywiście dla starszych dzieci.

Panna Wiśnowska w roli Weroniki, dała nowy dowód swego talentu. W wysłownieniu zauważyliśmy ton Modrzejowskiej.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Styczniu 1884 r.

Choć już mija pierwsza połowa długotrwałego w bieżącym roku karnawału, cicho dotąd u nas, tak w stolicy księstwa, jak i na prowincji; znikąd nie dochodzą odgłosy wrzawy karnawałowej. A nawet i myśliwskich uciech zbrakło, czas łagodny i dżdżysty nie sprzyja łowom, a obniżenie się zwierostanu wskutek słotnego lata położyło tamę zapalom naszych Nemrodów.

To ucieszenie się życia towarzyskiego przyniosło z sobą pewne korzyści, gotowe zakwitnąć w błogi owoc dobrych postanowień. Pora była sposobną do rachunku z sumieniem, do wejrzenia w siebie i spojrzenia w około siebie. Skutkiem tego zastanowienia społeczeństwo nasze a przynajmniej zdrowsza, poważniejsza onego część, zatrzwożyła się zboceniami lat ostatnich: zbytkiem, który się ponownie u nas rozgościł, stratami materyalnemi i moralnemi, o jakie nas przyprawia rokrocznie zima i karnawał — kosztowny a huczny. Postanowiono zadzwonić na alarm, i oto w tej chwili obiega już po księstwie odezwa, opatrzona najszanowniejszemi podpisami, a nawołująca do upamiętania się, do powstrzymania się na tej stromej i zgubnej drodze, na którą nas lekkomyślność kilku jednostek porwała. Że zaś ogólniki w takiej sprawie nie wystarczają, przeto wyżej pomieniona odezwa główny kładzie nacisk na zaniechanie gier hazardowych, które stały się prawdziwą klęską towarzyskiego życia w mieście naszym, dalej balów kawalerskich lub kostiumowych, pociągających za sobą znaczne koszta, a nareszcie zwywa i panie nasze do dawania dobrego przykładu skromnością strojów i unikaniem wszelkiego na tem polu spórzawodnictwa. Przyklaskując szlachetnej intencji poważnego grona obywatelskiego, które wzywa społeczność wielkopolską do upamiętania się, najmnij, niestety, liczymy na skuteczność tego ostatniego zaklęcia, próżność kobieca uporniejszą bowiem wadą była od samychże namiętności męskich. Prędzej młódzień odstąpi od zielonego stolika, pohamuje swe zachcianki sportu lub zagranicznej elegancji, aniżeli mamy zaniechają strojenia swych córeczek, lub młode męża i przestaną, prześcigać się wzajemnie w kosztownych tualietach.

Pod tym względem Poznańskie najgorszą ma tradycją: przybyszących z innych dzielnic, razie zwykły zbytek pań naszych; najmłodsze nawet panienki, strojne w krasę wiosny życia, w tym wieku, kiedy polny kwiatek wystarczającą stanowi ozdobę, niezadawalniają się prostotą poe-

tycznych białych sukienek. Bogate materye, niegdyś podstawa ślubnych wypraw, obciążają nieraz smukłe postacie dziewcz naszych, którym byłoby stokroć bardziej do twarzy w lekkim muslinie i obłokach przejrzystych tkanin. Wszelkie próby zreformowania w tym względzie szkodliwego obyczaju spalały dotąd na panewce. Najpewniejszym środkiem poprawy byłby przykład dobry, idący z góry: salony przodujące prostotą, domy przewodnie błyskające skromnością. Niestety! tego właśnie brak nam w Poznaniu, a historyczne rody Czartoryskich, Radziwiłłów, Zamoyskich, aczkolwiek przedstawiają najlepsze pod tym względem wzory do naśladowania, światło chowają pod korzec ustronne życie i cichą pracę przekładając nad życie w świecie.

Jak zbytek jest plagą i trądem wyższych warstw naszej społeczności, tak lud wiejski, ta część najliczniejsza i najzdrowsza Księstwa Poznańskiego, niszczonej jest znów inną właściwą sobie zarazą. Im szerzej Kulturkampf rozuszczał swe zagony, im bardziej brakło upominających głosów plebanów, którzy pracą swą podnosili stan moralny owieczek sobie powierzonych, tem większe zaznacza się obniżenie poziomu moralnego zwłaszcza pod względem wstrzemięźliwości. Ogromny postęp, jaki w tej mierze przed kilkunastu laty zauważono, znów nagle ustał i zamienił się nawet w ruch wsteczny.

Wyszła świeżo w Niemczech ciekawa praca o stanie włościańskim p. t. *Bauerliche Zustände in Deutschland*. Landrath, czyli radzca powiatowy; Nathusius zamieścił w niej sprawozdanie szczegółowe ze stanu powierzonego rządowi swoim Powiatu Obornickiego. Zpośród wielu liczb, zajmujących obliczeń groźnie wystąpiła statystyka pijanstwa miejscowego. Na 50 tysięcy ludności zamieszkałej w powiecie rocznie wychodzi 700,000 hektolitrow spirtualiów w summie 300,000 marek. Wziąwszy przeciętną 250,000 marek dla każdego powiatu, ostatecznie doliczyć-by się można pół siódma miliona marek rokrocznie wydawanych na wódkę przez Lud Wielkopolski. Liczba to straszna i nie daremnie przeraziła wymowną swą brutalnością społeczeństwo nasze. Liczba szynkowni i jarmarków, których jest 550 w ciągu roku po 138 miastach dzielnicy naszej rozpięcia zgubną dla ludu sposobność i pokusę. Strata czasu równa się stracie pieniędzy, a ta smutna statystyka tłómaczy w wielu razach główne przyczyny upadku włościańskich u nas posiadłości i idącą za tem emigracją ku wybrzeżom amerykańskim. Od r. 1878, wywędrowało z Księstwa 31,465 osób a najznaczniejszy ubytek przypada na r. 1881. Na niecałe dwa miliony mieszkańców, przyczyna trzeba, iż stosunek emigracji jest nadzwyczaj wielki. Wynagradza w części tę stratę dziwnie szybki przyrost ludności, mnożącej się bujniej, niż gdziekolwiek, w Państwie Pruskiem, z wyjątkiem jednej tylko Westfalii, po której bezpośrednio w statystykach urzędowych następuje Wielkie Księstwo Poznańskie, co do liczby narodzin i wzrostu mieszkańców; niema jednak dotąd przeludnienia, któreby usprawiedliwiało emigracją zamorską. Ta głównie jest dziełem agentów dających jej hasło, a następnie rozwija się skutkiem pomysłnych wiadomości, jakich udzielają znajomym pierwsi, którzy ztąd wywędrowali do Ameryki. Chociaż jest pewien procent mniej przemysłnych i zaradnych, który ginie, większa jednak część naszych emigrantów, dobija się na drugiej światła półkuli niebywałego dobrobytu, zwłaszcza rzemieślnikom nadzwyczaj się tam dobrze powodzi, a swoboda, jakiej zażywają zdala od Kulturkampfu, przymusu wojskowego, szkolnego, podatkowego i t. p., rychło ich przywołuje do nowych siedzib, w których znajdują całe osady ziemków, ze szkołą i parafią polską.

Zresztą — powiedzmy tę prawdę, tak przykra dla uczucia: lud nasz nie ma takiego przywiązania do stron ojczystych, jakie znamionuje np. Irlandczyków, rychlej się odesknij, rychlej przyzwyczaj, byle znalazł otoczenie rodzinne. Nigdy np. przy wyjazdach pociągów emigranckich nie zobaczysz tej rozpacz, która towarzyszy do odpłynięcia każdego statku tułaczego z Irlandyi. Nasi włościanie wyglądają smutni, osowiali, ale nie płaczą, nie żegnają się głośno. Irlandczyk krwią

serca okupuje postanowienie opuszczenia stron rodzinnych, na parę dni przed wyjazdem, noc spędza na modlitwie padając krzyżem przy grobie Sw. Kolumbana — bo z tych kamieni, wedle podania, ma płynąć moc cudowna, lecznicza, kordyła skuteczny na zbytne udręczenia tęsknoty za Irlandyą. Boleść zaś rozstania się ze swoimi, nie tylko łzami i narzekaniem się zdradza, ale jeszcze klaskaniem w ręce, co tam bywa oznaką najcięższego strapienia. Nic dziwniejszego nad tłumy Irlandczyków, cisnących się do wagonów z głośnym płaczem i klaskaniem. Co kraj to obyczaj, nawet w dowodach żaloby.

Ale obdylem od naszych stosunków, aby szukać pokrewnych na zielonym Erynie objawów. Kwestya socyalna coraz wyraźniej u nas występuje przy mnożeniu się fabryk i zakładów przemysłowych. Cukrownictwo coraz się bujniej tu nam rozwija, smukłe kominy strzelają ku obłokom, łany zielonych buraków coraz częściej i gęściej przecinają złocącą się zbóż fałę. Obecnie jest już w księstwie dwanaście czynnych cukrowni, przerabiających dziennie do stu tysięcy centnarów buraków. W kraju dotąd wyłącznie rolniczym nowa przez to otwiera się era; nowe wytwarzają się stosunki. Wogóle przemysł powszechnie się budzi, a nie można twierdzić, aby wyłącznie w obcych znajdować się miał rękach. Owszem, mnożące się firmy polskie w Poznaniu, ustalające się i rozwijające dawniejsze przedsiębiorstwa handlowe, pomyślnie świadczą o stanie naszego kupiectwa.

Miasto nasze poniosło świeżo ciężką a niepowetowaną stratę przez zgon księcia polskich księgarzy Jana Konstantego Żupańskiego. Czterdzieści pięć lat mija, odkąd młody pracownik, idąc za powołaniem i zachętą ludzi życzliwych a podniosłych, otworzył w skromnym domu przy Nowej ulicy księgarnię, z której tyle cennych wydawnictw rozejsz się miało po kraju całym. Niema przedmiotu, któregoby dzielny nakładca nie był do swego programmatu włączył: największe atoli usługi oddał on niewątpliwie historyografii krajowej, wydając: to pamiętniki i studia pojedyncze, to cały ciąg dziejowy, jak *Historiā polską* Teodora Morawskiego, to jeszcze dociekania i prace długiego życia i niezmordowanego badacza Joachima Lelewela. Ale i poezya i filozofia i sztuka, mogły także pukać do bram księgarni przy Nowej ulicy, pewne gościnne, serdeczne przytulenia i chętnej ofiarności, gdy szło o rzecz piękną, swojską, rodzinną. Pierwszy też w kraju Żupański dał hasło wydawnictwom illustrowanym książkowym.

Jedno z jego wydawnictw ozdobnych nosiło tytuł wymowny: *Zawsze oni*. Tak, gdy się spojrzało na skrzętność niestrudzoną, na szlachetny zapal starca, któremu szło więcej o to, żeby książka była, niż żeby zysk przyniosła; gdy się objęło myślą wszystkie coraz bardziej mnożące się jego nakłady i wydania — mimowoli nasuwał się okrzyk: *Zawsze oni!* — on Żupański, prawdziwy przodownik na polu naszego księgarstwa nakładowego. Z rodziny (greckiej, o greckim też nazwisku Supanos, nasz Jan Konstanty zrosł się z miastem, którego był ozdobą i chlubą. Postać jego, sędziwa powagą, młoda zapalem i ogniem, oblicze dziwne do Mickiewicza podobne, czoło w myśli bogate, usta rozumne, z uśmiechem do brotliwym a ironicznym zarazem: oto zewnętrzna fotografia zmarłego. Wewnętrznej nie rychło się doczekamy, może nigdy, tak się ten dzielny, ten zacny mąż krył zawsze z ofiarami dla dobra publicznego ponoszonemi, z uczynkami miłosierdzia, które skwapliwie przed wzrokiem ludzkim zasłaniał. Śliczny to był człowiek, w całym tego słowa znaczeniu, typ człowieka, jednostka, po której zniknięciu — czuje się pustkę... Pod wielu względami Żupański zachował był charakter wschodnich przodków swoich, między innymi: żył przeważnie na ulicy, przechadzając się ze spotkanymi znajomymi i załatwiając interesa pod gołym niebem. Wszyscy go tu znali, szanowali i cenili. Pogrzeb jego zgromadził całe tłumy, wszystkie księgarnie były zamknięte, liczne wieńce zakrywały trumnę zasłużonego krajowi męża.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w uznaniu jego działalności, a przytem i z wdzięczności dla wspa-

niałych darów książkowych, które Żupański wzbogacał zbiory muzealne, postanowiło popierać tego patriarchy księgarzy polskich umieścić w sali posiedzeń, obok mężów zasłużonych i znakomitych, których biusta zdobią to miejsce, gdzie skupiają się tętna życia umysłowego naszej dzielnicy.

I znów świeżo w tej samej sali dane nam było przysłuchiwać się kilku ciekawym odczytom: jeden sięgał w przeszłość zamierzając, bo wskrzeszał postać siostry Chrobrego; drugi rzucał nowe światło na dzieje Reformacji w Polsce, na zabiegi prymasa Uchańskiego, skłaniającego się ku „nowinkom“, na przeciwdziałanie nuncjusza Comendonięgo, zręcznie krzyżującego zamiary arcybiskupa, po rozbiciu którego węzeł jedności z Rzymem napowrót się zacieśnił i ocalał, dzięki katolickim w głębi duszy uczuciom religijnym Zygmunta Augusta. Drugi ten odczyt był tylko częścią większej pracy napisanej przez kanonika Korytkowskiego, niestrudzonego strażnika i dziejopisa Katedry i Kapituły Gnieźnieńskiej.

Dziennik Poznański święcił przed kilkoma tygodniami dwudziestopięcioletni jubileusz swego istnienia. Upamiętniający tę rocznicę numer wyszedł w ozdobnej szacie, rozszerzył się w liczne dodatki, i zrosł w zbiorowe wydawnictwo nakształt „Ziarna“, w którym dawni i dzisiejsi współpracownicy złożyli każdy po kilka słów lub myśli. W dziale poetycznym, najwyżej stanęła wierszem wstępny pani S. Duchńska, oraz p. Kościelski, ten ostatni w pięknym naśladowaniu pokutnej pieśni zasłyszanej w Jerozolimie. Pogadanka „z Poznania — o Poznaniu“, obejmująca okres lat czterdziestu bo od r. 1845 po dni nasze, odpowiada na częste utyskiwania, że dawniej u nas było inaczej. Autor, p. Teodor Żychliński, znany dziś z prac heraldycznych, dawniej współredaktor, po kolei, obu głównych naszych czasopism *Dziennika* i *Kuryera*, twierdzi stanowczo, iż choć dawniej było niewątpliwie weselej i gwarniej i huczniej — dziś, o tyle przynajmniej, o ile to od nas, od naszej pracy, dobrej woli, pocziwych zamiarów i zachodów zależy, z pewnością bywa lepiej. Wśród optymistycznych poglądów autora znajdują się istotnie pewne rzetelne punkta oparcia dla pociechy i nadziei. Przypomina on np. jaki był stan prasy przed założeniem *Dziennika Poznańskiego*. Jedna tylko licha *Gazeta W. Ks. Pozn.*, nędzny wlokła żywot, a dziś około dzieściu czasopism w samym wychodzi Poznaniu. W owych pozornie weselejszych latach, reprezentacja nasza poselska spadła do liczby kilku członków, gdy dziś do Berlina przysyłamy zawsze poważny zastęp 18 do 20 deputowanych. Ofiarność się zwiększyła, powstał teatr, powstało Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przybyło pracowników niemało, zniknął proletaryat szlachecki, ta plaga poprzedniej epoki; każdy się dziś chwytą roboty, nie wstydzi się ręką czy głową pracować na chleb. Wobec takich korzyści doświadczenia, rzeczywiście trudno tęsknić za dawną lekkomyślną wesołością, która, potęgając życie towarzyskie i skupiając je w Poznaniu, trwoniła kapitał moralny siły, woli i hartu. Namby się zdało, iż takie obrachunki bardzo są dobre, lepsze nawet od pesymistycznych sądów; dodają bowiem bodźca na przyszłość. Obrazem tego, co się już zdobyć i zrobić dało, mimo tak niepomysłnych warunków od woli jednostek niezależnych, mimo okoliczności zewnętrznych a nie raz i wewnętrznych żywiołów. hamujących pracę i rozwój.

Zdaje się iż stosunki kościelne doczekają się u nas wkrótce pożądanego ustalenia. Podróż następcy tronu do Rzymu przyspieszy zapewne ugodę i pokój wewnętrzny. Obecnie toczą się układy o koadjutora, mającego objąć rządy dycezyi naszych w imieniu i zastępstwie kardynała

Ledóchowskiego. Zpośród kandydatów na to dostojenstwo na pierwszym miejscu, ogólne życzenie stawia księdza prałata Edmunda Radziwiłła: maż to prawy, dający w charakterze swoim ręką dobre sprawowanie podniosłego urzędu. Żywe uosobienie czynnego miłosierdzia, x. Radziwiłł przykładą rękę do każdego zacnego u nas dzieła, nie szczędzi nigdy ni serca, ni ofiary, i powszechne też wzbudza uczucia czci, zaufania i miłości.

Blizko spokrewniony z domem panującym, wycofał się on zupełnie ze świetnych stosunków, aby na ustronnym wikaryacie poświęcić się służbie maluczkich i prostaczków. Jako poseł górno-szląski, oręduje za tym biednym ludem, brońi praw i krzywd jego na Sejmie Berlińskim. Kilkakrotnie już powszechne życzenie odziewało go w biskupie dostojenstwo: opróżniona Wrocławska Stolica pragnęła go otrzymać za pasterza, Biskup Chełmiński w sędziwości swej chciał go mieć koadjutorem i następcą. Teraz wszystkie oczy zwrócone są na niego, jako na ewentualnego wyroczyciela kardynała Ledóchowskiego!

Powstało w Poznaniu świeżo nowe czasopismo, poświęcone tyle pożądanym reformom kościelnej u nas muzyki. Naczelne kierownictwo objął młody kapłan, x. Surzyński, znany z talentu i znajomości przedmiotu. Błogi wpływ, jaki potrafił już wywrzeć na muzykę katedralną w mieście naszym, rozszerzy się teraz na całą prowincję, zapomocą czasopisma, niosącego zarazem i dobre wskazówki i najlepsze wzory. Razporaz x. Surzyński wygrzebuje z kurzawy starych kancyonatów i zakrystyi piękne, zapomniane melodie, czystością dźwięków i podniosłością natchnienia, przechodzące o całe niebo niesmaczne nowożytnie utwory i naleciałości. Obecnie muzyk-redaktor zamierza zlustrować krakowskie, starych nut zapasy, a ma nadzieję prawdziwych tam dokopać się arcydzieł, skoro i w Polsce muzyka kościelna kwitnęła niegdyś, i pierwsi mistrze, jak: Palestrina, składali w dani dla Kaplicy Jagiellońskiej umyślnie dzieła swego geniuszu.

Z aktu IV-go — sceny pierwszej

TRAGEDYI SHAKESPEARE' A

ROMEO I JULIA

przełożonej przez Paszkowskiego.

(Cela ojca Laurentego. — Ojciec Laurenty i Julia).

Julia

Bóg złączył moje i Romea serce,
Ty dłonie nasze, i nim ta dłoń, świętą
Pieczęcią twoją z Romea spojona,
Inny akt stwierdzi i nim to wierne serce
W zdradzieckim buncie odda się innemu,
To ostrze zada śmierć sercu i dłoni.
Daj mi więc jaką radę, zaczerpnę ją
Z długoletniego twego doświadczenia.
Albo bądź świadkiem, jak ten nóż rozstrzygnie
Sprawę pomiędzy mną a moim losem.
Mów prędko; pilno mi wstąpić do grobu,
Jeśli mi powiesz, że niema sposobu...

Ojciec Laurenty

Stój, córko! Mam ja w myśli pewien środek.
Wymagający równie rozpaczliwej

Determinacji, jak jest rozpaczliwym
To, czemu chcemy z pobiedz. Jeżeli
Dla uniknięcia małżeństwa z Parysem
Masz siłę woli odjąć sobie życie,
To się odważysz, snadź, na coś takiego,
Co będąc tylko podobnem do śmierci,
Uwolni cię od hańby, jakiej chciałaś
Ujść przez zadanie jej sobie naprawdę.
Masz-li odwagę, toć wskażę ten środek.

Julia

O! każ mi, zamiast być żoną Parysa,
Skoczyć ze szczytu wieży, w rozbójniczych
Gości jaskiniach, w legowiskach węzów.
Zamknij mnie w jedną klatkę z niedźwiedziami.
Albo mię wepchnij nocą do kośnicy
Zewsząd pokrytej szczątkami skieletów,
Poczeriałemi kośćmi i czaszkami. —
Każ mi wejść żywcem w grób świeżo kopany
I w jeden całun z tru em się obwinąć:
Wszystko to da wniej dreszcz budziło we mnie.
Ale bez trwogi uczynię to zaraz,
Byleby tylko pozostała czystą
Małżonką mego lubego kochanka.

Ojciec Laurenty

Słuchaj więc: idź do domu, bądź wesołą.
Przystań na związek z hrabią. Jutro Środa;
Staraj się jutro na noc zostać samą;
Niech Marta nie śpi ten raz w twym pokoju.
Masz tu flaszeczkę: weźmiesz ją do łóżka
I filtrowany napój tu wypijesz.
A wnet po wszystkich żyłach cię przebiegnie
Usypiający dreszcz, który owładnie
Wszelką żywotną funkcją: wszystkie pulsa
Wstrzymają w tobie swe zwyczajne bicie;
Ni dech, ni ciepło nie wskaże, że żyjesz.
Róże ust twoich i policzków zbledną
Jak popiół; oczu zasłony zapadną
Jakgdy dłoń śmierci zakrywa dzień życia.
Každy twój członek, pozbawiony władzy,
Zdrętwieje, zstęgnie, zziębnie jak u trupa,
I w tym pozornym stanie nagłej śmierci,
Zostawać będziesz czterdzieści dwie godzin;
Wtedy się ockniesz jak ze snu błogiego.
Gdy więc nazajutrz rano narzeczony,
Przyjdzie cię zbudzić, znajdzie cię umarłą;
Poczem, jak każe zwyczaj, przystrojona
W godowe szaty, w odślonionej trumnie
Złożoną będziesz pod owem sklepieniem,
Gdzie leżą wszyscy z krwi Kapuletów,
Uwiadomiony tymczasem przezemnie,
O naszym planie Romeo przybędzie,
Wraz zemną czekać będzie w tym lochu.
Na twe ocknienie i tej samej nocy
Uprowadzi cię skrycie do Mantui.
To cię uchroni od hańby grożącej,
Jeżeli brak woli, lub niewieścia bojaźń,
Od wykonania tego cię nie wstrzyma.

Julia

O! daj mi, daj mi! Nie mów o bojaźni...

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci i 4-ty, tomu II-go powieści pod tyt.:
Widmo szczęścia.

TREŚĆ Dr Benedykt Dybowski, — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Krzeczewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Scena I, akt IV tragedyi „Romeo i Julia.“

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 25 Января 1884 года.